

GRAHAM
MASTERTON

Dom, w którym
marzenia przeradzają się
w przerażającą obsesję...

WALHALLA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE HOUSE THAT JACK BUILT

Copyright © Graham Masterton 1995
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 1995

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: studioworkstock/Freepik (*pokój*)
paintingcat/Freepik (*zadrapania*); Freepik (*postać*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Wtorek, 16 marca, 20.07

– Nie może pan spróbować Broadwayem? – zapytał Craig.

Padał tak gęsty deszcz, że wycieraczki taksówki nie nadążały zbierać wody. Przed nimi wzdłuż całej Ósmej Alei bez przerwy zapalały się i gasły czerwone światła hamulcowe.

– Na Broadwayu jest to samo, przyjacielu – odparł beznamiętnie kierowca. Miał śniadą pociągłą twarz i dziwną wełnianą czapkę, która wyglądała jak odwrócona do góry dnem doniczka. Z napisu na blaszanym identyfikatorze wynikało, że nazywa się Zaghlul Fuad. – Zakorkowana jest cała dzielnica teatralna – powiedział i pociągnął nosem. – Pada deszcz.

– Pada deszcz? – powtórzył z przekąsem Craig. – Co pan powie? W ogóle bym nie zauważył.

Zerknął na zegarek, choć od momentu, kiedy robił to po raz ostatni, nie minęła jeszcze minuta. Miał zjawić się w restauracji Pétroussian najpóźniej o wpół do ósmej, by zasiąść do wystawnej kolacji razem z panem Ipi Hakayawą. Pan Ipi Hakayawa był ich najbogatszym i najbardziej prestiżowym klientem i zaprosił Craiga oraz jego partnera Stevena na uroczysty wieczór z szampanem i kawiozem – nie tylko po to, żeby podziękować im za znakomite przygotowanie sprawy

przeciwko Nash Electronics – najbardziej kosztownego procesu o pogwałcenie praw patentowych w historii sądownictwa – ale by zapoznać ich z kolejnym etapem walki, jaką zamierzał podjąć z amerykańskim protekcjonizmem, składając pozew przeciwko Departamentowi Handlu.

Craig znał wystarczająco dobrze zasady japońskiej etykiety, żeby wiedzieć, że choć pan Hakayawa nie skomentuje ani jednym słowem jego spóźnienia, prywatnie będzie się czuł głęboko urażony. Jeśli ktoś buli facetowi milion trzysta tysięcy za usługi prawne, może oczekiwać, że w spotkaniu nie przeszkodzi mu tak banalny incydent jak oberwanie chmury.

Samochody przesunęły się kilka kolejnych jardów do przodu i ponownie rozbłysły światła hamulcowe. Deszcz bębnił wściekle o dach i zalewał zaparowane szyby. Craig przetarł okno rękawem i wyjrzał na zewnątrz. Znajdowali się dopiero na wysokości Czterdziestej Szóstej – do celu pozostało jeszcze jedenaście przecznic.

– Niech pan skręci w prawo w Czterdziestą Ósmą – warknął.

– Mówiłem ci, przyjacielu, na Broadwayu jest to samo.

– Niech pan po prostu skręci, dobrze? Jeśli na Broadwayu jest to samo, niech pan spróbuje Szóstą.

– Na Szóstej jest to samo, na Madison też to samo.

– Słuchaj pan, nie potrzebuję, żeby jakiś pierdolony Egipcjanin mówił mi, jak mam jeździć po moim własnym mieście.

Zapadła chwila ciszy. Taksówka przed nimi podpełzła trochę do przodu, ale Zaghluł Fuad nie ruszył za nią, lecz obrócił się i utkwiał w Craigu swoje czarne, duże, załzawione oczy.

Stojący za nimi taksówkarz nacisnął klakson. Craig wzruszył ramionami.

– Dobra, przepraszam. Jestem po prostu spóźniony i miałem zły dzień. Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny.

Zaghlul Fuad wpatrywał się w niego dalej z nieprzenikniomym wyrazem twarzy. A potem, nie odwracając się do przodu, skasował licznik.

– Miałeś zły dzień, przyjacielu? A wiesz, co mi się dzisiaj przydarzyło? Dzisiaj umarł mój ojciec.

– Niech pan posłucha, przecież pana przeprosiłem. I przykro mi z powodu pana ojca. Czy nie moglibyśmy po prostu...

– Craig wskazał głową w stronę taksówki przed nimi, która przesunęła się dalej o kolejne trzy długości samochodu. Taksówkarz z tyłu trąbił jak oszalały.

– Mój ojciec też był pierdolonym Egipcjaninem – powiedział Zaghlul Fuad. Wymawiał każde słowo z wielką delikatnością. Miał piskliwy, prawie kobiecy głos. – Starał się zawsze ze wszystkich sił, tak samo, jak ja zawsze się staram. Czasami mu się nie udawało. Mnie też nie zawsze się udaje. Czasami nie udaje mi się dowieźć pasażerów tam, gdzie sobie życzą. Nie zawiozę pana tam, gdzie pan sobie życzy. Niech pan wysiada z mojej taksówki.

– O czym pan mówi? Oszalał pan?

– Powiedziałem: niech pan wysiada z mojej taksówki.

– Pada deszcz, na litość boską!

– Pada deszcz? Co pan powie? W ogóle bym nie zauważył.

Craig poczuł nagły przypływ frustracji i gniewu, nad którym ledwie potrafił zapanować. Referując stanowisko swojej kancelarii na sali Sądu Handlu Międzynarodowego Stanów Zjednoczonych, stawiał czoło dwa razy od siebie starszym adwokatom. Wymownym, twardym, siwowłosym, odzianym w srebrzyste garnitury mężczyznom o grzmiących mentorskich głosach. Ale jak miał poradzić sobie ze stukniętym egipskim taksówkarzem, którego ojczyznę właśnie nieopatrznie obraził i który miał do stracenia najwyżej parę dolców?

– W porządku – powiedział. – Zawrzyjmy umowę.

Niezależnie od tego, ile wystuka taksometr, płacę podwójnie. – Wyjął portfel z krokodylej skóry i wyciągnął z niego studolarowy banknot. – Proszę popatrzeć. Daję panu setkę. Niech pan mnie tylko tam zawiezie. Mam bardzo ważne spotkanie z bardzo ważnym klientem. Jestem spóźniony, i to już jest katastrofa. Ale jeśli pojawię się tam poważnie spóźniony i na dodatek przemoczony, to będzie prawdziwa katastrofa. Chcę powiedzieć, że to będzie... – Craig przerwał i przesunął palcami po grdyce.

Na twarzy Zaghlula Fuada nadal nie odbijały się żadne uczucia.

– My, Egipcjanie, mówimy, że człowiek, który nie liczy się ze słowami, na pewno skończy z poderżniętym gardłem.

– Naprawdę? A my, nowojorczyki, mówimy, że taksówkarz ma obowiązek zawieźć pasażera w każdy punkt miasta i jeśli tego nie zrobi, wydział komunikacji odbierze mu koncesję.

Zaghlul Fuad opuścił i podniósł niczym jaszczurka swoje ocienione długimi rzęsami powieki – tak, jakby chciał na zawsze zapamiętać twarz Craiga.

– Utrata koncesji będzie niewielką ceną za pozbycie się kogoś, kto nie traktuje z szacunkiem swoich bliźnich. Proszę, niech pan wysiądzie z mojej taksówki.

– Co to za wygłupy? Oszalał pan? Wypuścili pana z Bellevue?

– Proszę wysiąść.

Wokół nich rozbrzmiewała ogłuszająca kanonada klaksonów.

– Zabieraj stąd dupę, ty głupi brudasie! – usłyszał Craig. – Zjeżdżaj z drogi, sukinsynu! – Gdzie, do diabła, są gliniarze, kiedy się ich naprawdę potrzebuje, pomyślał.

Zacisnął zęby i wziął głęboki oddech. I tak stracił już kilka drogocennych minut na kłótnię. Pozostawało mu tylko jedno:

wysiąść i iść dalej na piechotę. Wyjął portfel i zapisał drżącą ręką numer koncesji Zaghlula Fuada. Był tak wściekły i upokorzony, że ledwie mógł utrzymać długopis w ręce.

Otworzył drzwi taksówki. Do środka natychmiast wpadły potoki deszczu.

– Jesteś skończony – powiedział, grożąc palcem Zaghlulowi Fuadowi. – Rozumiesz? Postaram się, żeby odebrano ci koncesję, nawet jeśli będzie miało mi to zająć całe życie, ty głupi egipski kutasie.

– *Salaam, effendi* – odparł Zaghlul Fuad bez śladu ironii w głosie.

• • •

Craig przebiegł Czterdziestą Ósmą Ulicę, klucząc między trąbiącymi hordami taksówek i limuzyn. Poniósł wysoko klapy swojej szarej marynarki od Alana Flussera, ale niewiele to pomogło. Deszcz zacinął lodowatymi strugami, rynsztokami płynęły rwące potoki wody, wszędzie walały się szkielety połamanych parasoli. Craig przemókł do suchej nitki, zanim dobiegł do chodnika, a potem wdepnął prosto w kałużę i cały but zalała mu lodowata woda.

Podniósł jeden z połamanych parasoli, potrząsnął nim i próbował go otworzyć, ale parasol był sztywny niczym martwy pterodaktyl, więc po chwili, klnąc głośno, rzucił go z powrotem na ziemię. Własny płaszcz i parasol zostawił w kancelarii Fishera i Bellmana na siedemdziesiątym szóstym piętrze World Trade Center II. Co gorsza, zostawił tam również swój przenośny telefon, mając zamiar zabrać wszystko po lunchu. Niestety, lunch przedłużył się aż do godziny siódmej pięć, kiedy Khryssa obudziła go pocałunkiem, pytając: „Czy nie musisz już przypadkiem wyjść?”

A potem odgłos pierwszego gromu zatrzęsł szybami mieszkania Khryssy i z kominka spadł pluszowy miś, którego dał

jej kiedyś w prezencie.

Teraz mógł tylko biec truchtem do Pétrossiana, mając nadzieję, że Steven dotrzyma towarzystwa panu Ipi Hakayawie, a kelner znajdzie dla niego suchy garnitur. Będzie musiał wymyślić jakąś niesamowitą historię, żeby usprawiedliwić swoje spóźnienie. Z całą pewnością nie mógł poinformować pana Hakayawy, że spędził całe popołudnie w łóżku ze swoją dwiętnastoletnią kochanką. Może powie, że zmarł mu ojciec.

Tupiąc głośno, zbliżał się do Broadwayu. Gęste brązowe włosy oblepiły mu czaszkę i wyglądał teraz, jakby miał na głowie pływacki czepek. Był dużym, zdrowym mężczyzną i w ogóle nie przypominał z wyglądu swego ojca (który umarł przed ponad siedmiu laty na raka płuc). Miał kwadratową, mięsistą twarz, która ludziom kojarzy się na ogół z zamożną farmerską rodziną albo dynastiami demokratycznych polityków. Jego obecny wygląd z pewnością nie przywołał na myśl astmatycznego dzieciństwa, spędzonego w obskurnej kamienicy bez windy przy Lispenard Street, ani bladego samotnego chłopca w okularach i zrobionej na drutach zielonej wiatrówce, z powodu której tak bezlitośnie mu dokuczano.

Kiedy tak biegł, rozchlapując kałuże na Czterdziestej Ósmej Ulicy, mógł być przemoczony do suchej nitki i zdyszany, ale wciąż sprawiał wrażenie zamożnego i wpływowego obywatela i pewnie dlatego kuląca się w wejściu do drogerii K-Plus dziewczyna z kręconymi włosami wyskoczyła nagle na chodnik i złapała go za rękaw.

– Niech pan mi pomoże!

– Puszczaj! – zawołał, próbując się wyrwać, ale ona nie dawała za wygraną.

– Niech pan mi pomoże! Musi mi pan pomóc...

Craig zatrzymał się, czując chlupoczącą w butach wodę. Dziewczyna ścisnęła go za rękaw, jakby miała za chwilę utonąć, i tak rzeczywiście wyglądała. Miała okrągłą, spuchniętą

białą twarz, a z czoła i nosa płynęła jej zmieszana z krwią woda. Ubrana była w mokrą kurtkę z czarnej skóry oraz krótką czarną spódniczkę i kuśtykała na połamanych obcasach. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat.

– Niech pan mi pomoże! – powtarzała piskliwym, zdyszczanym głosem. – Wciągnęli tu moją przyjaciółkę! Wciągnęli tu moją przyjaciółkę! Niech pan mi pomoże!

– Posłuchaj, wezwę gliniarza – powiedział jej Craig. – Ty zostań tutaj. Słyszysz mnie? Zostań tutaj, a ja wezwę gliniarza.

– Musi mi pan pomóc, oni ją gwałcą! Proszę! Musi mi pan pomóc!

Craig złapał ją za ramiona.

– Spokojnie, opanuj się! Kto gwałci twoją przyjaciółkę? Gdzie?

Dziewczyna obróciła się i wskazała drzwi do drogerii. Dopiero teraz Craig zorientował się, że sklep jest zamknięty i opuszczony. Obok reklam Pepto-Bismolu, Maaloksu i Vaseline Intensive Care na brudnych zaczernionych szybach nalepione były paski z napisem: „Sprzedaż z powodu bankructwa”. Drzwi były uchylone, ale wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

Craig puścił dziewczynę i zajrzał bez zbytniego entuzjazmu do środka. Wokół niego bębniły krople deszczu, głośne jak stojąca owacja. Trąbiły klaksony, wyły syreny. Dziewczyna spoglądała na niego swoimi podobnymi do rodzynek czarnymi oczami, trzęsąc się cała i nie zwracając uwagi na kapiącą jej z podbródka krew.

– Proszę, niech pan mi pomoże, oni ją gwałcą – wymamrotała.

Craig podniósł rękę do twarzy i otarł wierzchem dłoni krople deszczu.

– Ilu ich jest? – zapytał.

– Tylko dwóch. Proszę, niech pan mi pomoże.

Obejrzał się do tyłu, ku Ósmej Alei, a potem spojrzął w przeciwną stronę, w kierunku Broadwayu. Wszystkie korkujące ulicę samochody miały pozamykane szczelnie szyby. Chlapiąc wodą, ruszył do najbliższej taksówki i zapukał w okno kierowcy, jednak ten pokręcił tylko przecząco głową. Omijając głęboką kałużę, podbiegł do następnego samochodu, niebieskiego buicka, z siedzącym za kierownicą łysejącym biznesmenem w samej koszuli, i postukał również w jego szybę, ale biznesmen zablokował wszystkie drzwi i nawet nie obrócił się w jego stronę.

Craig zapukał po raz drugi w szybę buicka.

– Gwałcą tutaj dziewczynę! Słyszysz mnie pan? Gwałcą tutaj dziewczynę! Niech pan wezwie gliniarzy, to wszystko, co musi pan zrobić!

Biznesmen mruknął coś i przejechał kilka jardów dalej.

Craig wyprostował się, ociekając wodą i czując, jak ogarnia go desperacja. Dziewczyna ponownie złapała go za ramię.

– Proszę! – krzyczała. – Proszę!

– Słuchaj! – zawołał, próbując przebić się przez uliczny hałas i szum deszczu. – Czy któryś z nich jest uzbrojony? Czy mają pistolety, noże albo coś w tym rodzaju?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową. Jej twarz była śliską maską lepkiej, rozwodnionej deszczem krwi.

– Jest ich tylko dwóch. Proszę...

Co tam, do diabła, pomyślał Craig. I tak jestem już spóźniony. I tak zmoczył mnie deszcz. Na Boga, dam sobie przecież radę z dwoma wyrostkami. Na pewno nie są zbyt sprawni. Wątpię, czy przebiegają każdego ranka sześć mil i ćwiczą trzy razy w tygodniu w adwokackim klubie sportowym. Zresztą jestem w tej chwili wystarczająco wkurzony, żeby poradzić sobie z każdym.

Ruszył z powrotem w stronę uchylonych drzwi. Dobiegał zza nich zapach wilgoci, pleśni i uryny. Pchnął drzwi szerzej i utkwiał wzrok w ciemności.

– Jest tam kto? – zawołał. – Jeśli mnie słyszycie, wynoście się stąd, do diabła, i to szybko!

Nie było żadnej odpowiedzi. Tylko szmer ciekącego po murach deszczu. Oczy Craiga przyzwyczajały się stopniowo do ciemności. Zobaczył przed sobą rząd pustych regałów.

– Jak się nazywa twoja przyjaciółka? – zapytał dziewczynę.

– Susan – odparła, mrugając prawym okiem, jakby nie spodziewała się, że jej uwierzy.

– W porządku. – Craig sięgnął do kieszeni i wyjął dziesięć centów. – Wezwij gliniarzy i ambulans, a ja poszukam tej twojej przyjaciółki.

Dziewczyna pokuśtykała w stronę Ósmej Alei, ocierając twarz chusteczką. Craig stał w wejściu i obserwował ją przez kilka chwil, nie dosyć długo jednak, żeby zobaczyć, jak się obraca i na jej twarzy pojawia się uśmiech.

Wszedł do pogrążonej w mroku drogerii, stąpając po potłuczonym szkle i piasku.

– Susan! – zawołał. – Jeśli mnie słyszysz, Susan, musisz tylko krzyknąć albo dać jakiś znak. Kopnąć obcasem w podłogę, cokolwiek.

Przystanął przy rzędzie regałów i zaczął nasłuchiwać. Z początku nie słyszał kompletnie nic, ale potem dobiegło go cichutkie kapanie. Trapp, trapp, trapp, jakby ktoś stukał obcasami po podłodze z surowych desek. Woda kapała również z jego garnituru – miękkie nieregularne plip, plop, plip. Zaczął podejrzewać, że nikogo tutaj nie ma; że dziewczyna z zakrwawioną twarzą zrobiła mu głupi kawał. W Nowym Jorku, gdzie po ulicach szwendało się tylu świrów, wszystko było możliwe.

– Susan? – zawołał.

Minęła prawie cała minuta i nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Chciał już odwrócić się i odejść, kiedy dobiegło go nagle stłumione kwilenie. Przypominało miauczenie kota, ale niezupełnie. Bardziej już dźwięk, jaki wydaje dziewczyna z zakneblowanymi ustami.

Ruszył po omacku w głąb sklepu.

– Susan? To ty, Susan? Jeśli mnie słyszysz, kopnij obcasem w podłogę. Śmiało, kopnij!

Dał kolejny krok do przodu i natknął się na stos drucianych półek i stojaków. Odsunął je na bok, ale potem nadepnął na kilka leżących na podłodze szyb, które pękły z ostrym brzękiem pod jego podeszwą.

Właśnie z powodu tego brzęku nie usłyszał, kiedy ktoś podbiegł do niego i uderzył go z całej siły w żołądek.

Nieraz już w życiu porządnie oberwał – uprawiając boks, racquetball i inne sporty – ale nigdy nie otrzymał takiego uderzenia. Runął do tyłu na stos drucianych półek i potłuczone szkło, jakby potrąciła go rozpędzona taksówka. Jego głowa uderzyła w ścianę ze strasznym głuchym łomotem i przygryzł sobie górną wargę. Był tak oszołomiony, że nie mógł oddychać, a kiedy oparł się o podłogę, próbując się podnieść, lewą dłoń pokaleczyły mu ostre jak brzytwa okruchy szkła.

A potem ktoś złapał go za kłapy marynarki i podniósł na nogi. Ktoś młody i szczupły, pachnący deszczem, papierosami i alkoholem.

Był także ktoś inny. Ktoś, kto stał bardzo blisko za jego plecami. Zbyt blisko, żeby żywić przyjazne zamiary.

– Co tutaj robisz, koleś? – zapytał ten, który stał z tyłu. – Ktoś cię tutaj zapraszał?

Craig zacharczał i zakaszłał. Miał wrażenie, że żołądek płonie mu żywym ogniem. Nigdy nie myślał, że uderzenie może tak boleć.

– Szukałem Susan – udało mu się w końcu wykrztusić.
– Nie ma tutaj żadnej Susan, koleś. Żadnej panienki. Tylko on i ja.

– W takim razie w porządku. Pomyliłem się. Przepraszam.
– Cieszy nas to, że przepraszasz. Ale samo „przepraszam” nie wystarczy. „Przepraszam” nic nie kosztuje. Od „przepraszam” nikt nie poczuje się lepiej z wyjątkiem frajera, który to mówi.

Craig poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Dygotał z zimna, tak jakby ktoś wylewał na niego jedno po drugim kolejne wiadra lodowatej wody. Było mu niedobrze, ale nie mógł wymiotować. Miał wrażenie, jakby wycięto mu żołądek. Dlaczego było mu tak zimno?

– Czego chcecie? – zdołał zapytać zdławionym głosem.
– Twoich pieniędzy, koleś. Twoich kart kredytowych. Twoich klejnotów. Wszystkiego, co masz.

Craig wziął głęboki oddech i chciał coś powiedzieć, ale nagle targnęły nim torsje i wymiotował żółć, krew i do połowy przetrawioną bułkę z kurczakiem, którą zjadł u Khryssy.

– Hej, koleś, jesteś obrzydliwy. Jesteś chory.
– Weźcie, co chcecie – wystękał.
– Dobrze, dobrze. Ale nie puszczaj na mnie pawia.
– Zabierajcie wszystko, po prostu weźcie, co chcecie – powtórzył, wypluwając kawałek kurczaka. U podbródka zawisła mu kwaśna nitka śliny.

– Odrażający z siebie frajer, wiesz? Widziałem psy, które zachowywały się przyzwoiciej.

Craig stał, dygocząc, z opuszczoną głową i skulonymi ramionami. Młodzieniec sięgnął do wewnętrznej kieszeni jego marynarki i wyciągnął portfel. Szybkie brudne palce przeszukały inne kieszenie, wydając długopis, wieczne pióro, kalkulator i drobne pieniądze.

– Będziesz się cieszył, że to zrobiłeś, koleś. Nie każdy ma

okazję dofinansować Aktuz.

Craig podniósł głowę. W pograżonym w ciemnościach sklepie niewiele mógł zobaczyć – niewyraźne odbicie ulicznych świateł na czarnej kości policzkowej, zarys czarnego ramienia i lśniące jak robacznicze oczy.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na napastnika, który stał za nim. Tamten przesunął się lekko w smudze światła i przez ułamek sekundy Craig zobaczył, że ma przed sobą wysokiego czarnego chłopaka o zapadniętych oczach, ściągniętych wargach i wyszczerzonych nierównych zębach. Najbardziej jednak uderzyły go jego włosy, usztywnione żelam i okalające głowę niczym błyszcząca czarna korona, oraz ciężki czarny surdut, w który był ubrany. Wyglądał niczym statysta z filmu o Mozarcie, z tą różnicą, że nie trzymał w ręce laski ze srebrną gałką ani skrzypiec. Trzymał młotek.

Boże, pomyślał Craig, nic dziwnego, że to uderzenie w brzuch tak mnie zabolowało.

– Zegarek i obrączka, koleś – zażądał młodzieniec.

Craig niechętnie zdjął swojego roleksa i ślubną obrączkę. Znowu targnęły nim torsje, ale tym razem udało mu się przełknąć żółć. Nie chciał jeszcze bardziej rozdrażniać swoich prześladowców.

Chłopak w czarnym surducie stanął tuż za nim.

– Teraz się stąd zmywamy – powiedział. – Wiem, co chodzi ci po głowie, koleś. Myślisz: załatwili mnie na cacy, ale pójdę za nimi, dowiem się, gdzie się zamelinowali, i sprowadzę im na łeb gliniarzy. Więc słuchaj uważnie, co ci powiem, koleś. Nie pójdiesz za nami.

– Nie miałem nawet zamiaru próbować – wyjąkał Craig.

– Tylko tak mówisz.

– Dlaczego, do diabła, miałbym za wami chodzić? Jestem przemoczony do suchej nitki, chce mi się rzygać. Wszystko, czego chcę, to wrócić do domu.

– Tylko tak mówisz – powtórzył czarny chłopak.

– Na litość boską, zabraliście mi wszystkie pieniądze. Czego jeszcze chcecie?

– Chcemy gwarancji, koleś.

Zanim Craig zdążył zapytać, o jakiego rodzaju gwarancje im chodzi, drugi chłopak złapał go brutalnie od tyłu i przyciągnął do siebie. Craig próbował się wyrwać, ale ten w surducie uderzył go dwa razy w twarz, z lewej i prawej strony, wystarczająco mocno, żeby zadzwoniło mu w uszach.

Razem zaciągnęli go do starej lady drogerii.

– Co wy robicie? Co, do diabła, robicie? Puśćcie mnie, na litość boską!

Nie zwracając uwagi na krzyki Craiga, pierwszy młodzieńiec przycisnął go do zakurzonej mahoniowej lady, a ten w surducie rozpiął mu pasek.

– Odwalcie się! Nie dotykajcie mnie! Co wy robicie?

Poczuł, jak rozpinają mu guziki i otwierają rozporek. A potem czarna ręka o długich palcach wsunęła się pod jego szorty.

– Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie!

Ale chłopak w surducie złapał go brutalnie za genitalia i wyłożył je na ladę. Penis Craiga skurczył się ze strachu, a moszna napięła tak mocno, że napastnik ledwie mógł złapać jądra.

– Posłuchaj, dam ci wszystko, czego chcesz – bełkotał Craig. – Mam bmw, siódemkę, jeśli chcesz, możesz ją sobie zabrać, nigdy nie jeździłeś czymś takim. Mam dużo pieniędzy. Jestem naprawdę bogaty. Mogę załatwić, żeby wypłacono każdemu z was po dziesięć tysięcy. Jeśli chcecie, dwadzieścia...

Czarny chłopak w surducie pociągnął znacząco nosem.

– Zdziwiająca, jak szczodry staje się frajer, kiedy trzymasz w ręce jego nabiął.

Craig pocił się i dygotał. Sposób, w jaki młodzieniec ugniatał powoli długimi, suchymi palcami jego penisa i jądra, napępiał go wstrętem. Naciągał i ściągał napletek prawie roztargnionym gestem, ale nadawało to jego ruchom straszliwą intymność, jakby był żoną, która zabawia się z mężem.

– Zadziwiające, ile niektórzy frajerzy gotowi są zapłacić za swój nabiał – powtórzył. – Ile byś zapłacił, koleś?

– Dam wszystko, co chcecie. Tylko mnie puśćcie.

– Daję dwadzieścia dolców za prawe jajo – odezwał się nagle ten drugi.

– Dwadzieścia dolarów? Czy dobrze słyszę? Dwadzieścia dolarów za prawe jajo?

– Puśćcie mnie! – ryknął Craig, próbując się wyrwać. Ale chłopak w surducie znowu trzasnął go w twarz, tym razem o wiele mocniej, a potem walnął młotkiem w ładę, tylko kilka cali od genitaliów Craiga. Craig poczuł, jak fala uderzeniowa rozchodzi się po blacie i odbija od jego ud.

– To ostatnia oferta? Nikt nie zamierza dać więcej? – zapytał z udanym zdziwieniem czarny chłopak. – Dwadzieścia dolców to tyle co nic za dojrzałe, dobrze funkcjonujące męskie jajo.

– Trzydzieści – powiedział Craig. Tortury, jakie mu zadawali, były wyjątkowo podłe, ponieważ nie wiedział, czy chcą, żeby wygrał, czy żeby przegrał – ani co się w każdym z tych przypadków stanie. Bał się, że jeśli wygra, utną mu jądro i dadzą jako coś, co kupił na licytacji. A jeśli przegra... cóż, jeśli przegra, Bóg jeden wie, co wtedy zrobią. Przyszła mu na myśl sprawa Bobbitta, któremu mściwa żona Laurene odcięła penisa i wyrzuciła go potem przez okno samochodu. Powtarzał sobie, że musi dobrze zapamiętać, gdzie tych dwóch wyrzuci jego genitalia, jeśli go wykastrują, żeby mógł je szybko odnaleźć; musiał także pomyśleć, gdzie znajdzie trochę lodu, żeby zachować je w dobrym stanie, zanim uda

mu się wezwać ambulans.

Przypomniał sobie, że po drugiej stronie ulicy widział jakiś bar. Tam będą mieli lód. A potem pomyślał: Co się ze mną dzieje? To jakiś koszmar.

– Trzydzieści pięć – oznajmił drugi młodzieniec.

– Sto – podbił cenę Craig. Powiedział to o wiele głośniej, niż miał zamiar.

– Sto dwadzieścia pięć.

– Dwieście.

– Pięćset.

– Milion.

Na chwilę zapadła cisza.

– Milion? Daj spokój, koleś, niczyje jajo nie jest warte milion.

– Moje jest, dla mnie.

Chłopak w surducie przysunął się do niego bardzo blisko.

– Mówisz serio?

– Jasne, że mówię serio. Jeśli mnie puścicie, macie milion dolarów, bez żadnych pytań.

– Cóż... teraz mówisz do rzeczy.

– Nie żartuję. Milion dolarów w gotówce, w nieoznaczonych, używanych banknotach. Dostarczę tę forszę, gdzie tylko chcecie i kiedy tylko chcecie.

– Wydaje mi się, że mówisz serio, koleś. Naprawdę sędzę, że mówisz serio.

– Jasne, że mówię serio, na litość boską. Po prostu powiedzcie, gdzie i kiedy chcecie pieniądze. Albo dam wam mój numer telefonu i załatwimy to później.

– Milion – szepnął czarny chłopak i ostentacyjnie oblizał wargi. – Co o tym myślisz, bracie? Myślisz, że możesz postawić więcej niż milion?

– Nie ma mowy, człowieku. Pasuję.

– W takim razie załatwione. Za jeden milion dolarów to

drogocenne jajo... jedno z dwóch wspaniałych drogocennych jaj... przechodzi na własność... przechodzi na własność...

Craig podniósł z ulgą oczy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy go dopadli, usłyszał jadące ulicą samochody i szum deszczu. Na suficie zobaczył pomarszczone cienie spływających po oknie drogerii strug wody i migające długonogie odbicia przechodniów.

A potem chłopak w surducie podniósł młotek, tak jakby kończył aukcję, potrzymał go przez chwilę w górze i roztrzaskał nim prawe jądro Craiga. Tkanka rozpląszczyła się niczym plasterek cieleńcego pasztetu, a obuch młotka wybił w skórze moszny półkolistą dziurę.

Craig doznał zbyt wielkiego szoku, żeby krzyczeć. Chłopak, który go trzymał, cofnął się szybko do tyłu, unosząc w górę obie ręce, a Craig obrócił się wokół własnej osi i opadł na kolana, dygocząc niczym rażony prądem wół.

Nigdy w życiu nie doświadczył jeszcze takiego bólu. Miał wrażenie, jakby ktoś wsadził mu między nogi palnik acetylenowo-tlenowy. Nie widział nic poza napływającymi jedna po drugiej falami oślepiającego szkarłatu i nie słyszał nic poza monotonnym dźwiękiem, który wydawała krew pulsująca mu w uszach.

Nie usłyszał nawet głosu czarnego chłopaka w surducie, kiedy ten nachylił się i powiedział:

– Wzięłeś mnie chyba za jakiegoś głupka, koleś. Mówisz, że gdybyśmy cię wypuścili, wciąż miałbyś ochotę zapłacić mi milion dolarów... zapłacić milion dolarów za coś, co tkwiłoby bezpiecznie schowane w twoich portkach? To ty jesteś głupkiem, koleś, nie ja.

Drugi chłopak wydał radosny okrzyk i wybuchnął skrzekliwym śmiechem; potem obaj wyszli z drogerii na zalaną deszczem ulicę. Nie spieszyli się. Nie musieli. Wiedzieli, że Craig nie będzie ich śledził i że mają mnóstwo czasu, zanim

zawiadomi policję.

Na rogu Ósmej Alei z zaśmieczonej sklepowej wnęki wyszła dziewczyna z kręconymi włosami i białą spuchniętą twarzą, wzięła pod rękę chłopaka w surducie i wszyscy troje pomaszerowali dalej w strugach deszczu, jakby nic się nie zdarzyło.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).